ŻYCIE

ROCZNIK I. ZESZYT IV.

DNIA 22. PAŹDZIERNIKA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31 KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE. ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

IZA MOSZCZEŃSKA.

PÓKI MY ŻYJEMY.

Siła jest źródłem prawa, a źródłem siły człowiek.

Nie mówię tutaj o prawie w znaczeniu moralnym i idealnym, o prawie ideału sprawiedliwości, lecz o jego roli jako faktycznego regulatora stosunków między ludźmi.

Ponieważ wedle określenia zawartego w naczelnym zdaniu — ostatecznym źródłem prawa jest człowiek, stosunek prawa do sprawiedliwości kształtuje się już w nim samym, przez wewnętrzne skojarzenia duchowe i zależy od tego, czy człowiek siły swej używa na obronę słuszności, czy na wywalczenie przywileju, na osiągnięcie powszechnej korzyści, a w tym i własnej, czy też własnej kosztem powszechnej.

Złe prawa istnieją tedy tam, gdzie są źli ludzie, lub gdzie dobrzy ludzie są bezsilni, bierni, nieliczni, rozproszeni lub ciemni. W takich warunkach i dobre prawa tracą swą moc obowiązującą, niewykonywane nigdy, gwałcone bezkarnie, nie bronione przez nikogo — zanikają. Przeciwnie dzieje się tam, gdzie poczucie słuszności jest powszechne, silne i czynne.

Przechodząc od ogólników do faktów, zestawmy stosunki wewnętrzne dwóch krańcowo przeciwnych społeczeństw: Anglji i Rosji.

Nikt nie wątpi, że Anglja ma znakomitą konstytucję, że jest klasycznym krajem wolności i sprawiedliwości. — Nie Francja, nie Stany Zjednoczone — lecz właśnie Anglja. Poszanowanie prawa, wolność publiczna i indywidualna, szerokie perspektywy rozwoju bez wstrząśnień i przewrotów, niczym nie hamowane i niekrępowane ścieranie się wewnętrznych sił i prądów, potęga opinji publicznej, najuczciwszy w świecie wymiar sprawiedliwości, czynią z jej ustroju politycznego wzór dotąd nie prześcigniony.

Gdybyśmy jednak trzymali się litery, nie ducha, moglibyśmy twierdzić, że w Anglji nie istnieją ani konstytucja, ani prawo. Pierwsza składa się z szeregu zwyczajów i luźnych w różnych czasach uchwalonych Bill'ów, drugie również ze zwyczajów i z całych archiwów wyroków. Wszystko to razem sprowadzić można do jednego ogólnego określenia: Anglją rządzi zwyczaj. „Bill'e" i wyroki są bowiem albo przygodnym sformułowaniem istniejącego zwyczaju, albo stwierdzeniem jego zmiany, boć wraz ze zmianą ludzi i ich pojęć zmieniają się i obyczaje. Bezgraniczna rozwojowość angielskiego prawa i ustroju polega na tym, że będąc wytworem ludzkim i mając gwarancją i sankcję tylko w ludziach, może się wraz z nimi przeobrażać, rozwijać, dojrzewać pod wpływem ducha czasu. Anglik, pragnący się dowiedzieć, co jest słuszne, „what is right" — nie szpera po paragrafach kodeksu, bo go niema, lecz oddaje sprawę do sądu. Zdarza się, że dwie instytucje publiczne, — n. p. władza samorządu lokalnego i jakieś ministerjum, za wspólną zgodą, chcąc rozgraniczyć swe kompetencje, wszczynają sprawę sądową, ażeby się przekonać, kto jest w prawie — „who is right".

Decyzja leży znowu w ręku kilku ludzi, którzy sądzą nie według paragrafu, lecz według sumienia i rozsądku. Gwarancja, że osądzą słusznie, leży także w przyjętych przez ogół zwyczajach, w potędze opinji. Sędzia nie może być ani głupi, ani przedajny, ani lekkomyślny, ani służalczy. Nikt nie śmiałby takiego mianować, ogół by na to nie pozwolił. Formalnie możliwym jest wszelkie bezprawie; realnie jest niedopuszczalnym. Poczucie słuszności, poszanowanie wolności indywidualnej i zbiorowej stoi na straży i stanowi jedyną siłę i moc obowiązującą konstytucji niepisanej i zwyczajowego kodeksu.

Anglicy mogliby śmiało powiedzieć o swej konstytucji: „istnieje — póki my żyjemy", istnieje bowiem w nich i przez nich.

Wiemy, że Rosja cierpi raczej na nadmiar pisanych praw, nie na ich brak, posiada prócz kodeksów, przepisów, ukazów, decyzji senatu, jeszcze moc cyrkularzy, rozporządzeń ministerjalnych, przepisów obowiązujących — całe archiwa, w których zginąć i utonąć można, ale których poznać, streścić, w całość ułożyć niepodobna, gdyż wszystkie się między sobą kłócą. Ma nawet rodzaj konstytucji, już kilka razy zmienianej, ma setki uchwalonych i nieuchwalonych jeszcze przez Dumę projektów do praw — ale prawa istotnego nie ma.

Jest zresztą rzeczą najzupełniej obojętną, czy te rozliczne formuły prawne i prawodawcze decyzje są mądre, czy głupie, sprawiedliwe, czy krzywdzące — ponieważ realnej mocy obowiązującej żadna z nich nie ma. I tu — jak w Anglji — człowiek jest źródłem prawa; tam sankcjonuje sprawiedliwość — tu bezprawie, tam obyczajem jest upominanie się o prawo i przestrzeganie go, tu gwałcenie lub omijanie prawa.

Nie dlatego niema w Rosji konstytucji, że ją gwałcić wolno, lecz że ją gwałcić bezkarnie można, że żadna siła na straży jej nie stoi, nikt się o nią nie upomina i o nią nie walczy. Zarówno w sprawach publicznych jak i prywatnych zwyczaj każe się uciekać raczej do bezprawnych środków, niż domagać się sprawiedliwości; raczej do łapówki niż do procesu. Dlatego to usankcjonowana przez zwyczaj i opinję łapówka jest kamieniem węgielnym ustroju państwowego Rosji, zarówno przed manifestem październikowym, jak po nim. I nie będzie w Rosji konstytucji póty, póki nie będzie obywateli rosyjskich, zamiast poddanych. Strach i serwilizm same przez się zacieśniają granice wolności; odwaga i niezależność rozszerzają je.

Toż samo, co o prawie i konstytucji w ogóle, powiedzieć można o każdej specjalnej dziedzinie życia publicznego. Wolność słowa drukowanego i mówionego zależy od tych, którzy mówiąc i pisząc, stwierdzają przynależne im prawo swobodnego wypowiadania się. Niedomówienia, przemilczania, obwijanie w bawełnę, ustalają zwyczajową cenzurę. — Tolerancja i wolność sumienia w klerykalnym i fanatycznym społeczeństwie pozostają tylko na papierze; tam zaś, gdzie przeszły w obyczaj, prawa które ją krępują więdną i zanikają z zaniedbania. Demokracja istnieć może tylko tam, gdzie masy są świadome swej siły, swej ludzkiej godności i ludzkich praw, miłują swą niezależność, bronią jej i zmuszają, by się z nimi liczono, nie tam, gdzie formalnie przyznano im wszystkie prawa, a realnie tylko przez protekcję i łaskę pańską wiedzie drogą do ich urzeczywistnienia.

W Rzeczypospolitej polskiej szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie, ale każdy magnat kupował sobie tyle głosów szlacheckich, ile mu było potrzeba. Ile razy masy chłopskie, czy robotnicze — na wzór starej szlachty naszej — upajać się będą frazesami równości, pozwolą się ogłupiać fikcyjnymi przywilejami — takimi jak ongi prawa do korony przysługujące szlachcicowi — a realnej niezależności, swej godności, swych praw obywatelskich bronić zaniedbają, tyle razy gmach kastowości naszej wzmocnią nowym obwarowaniem. Na każdy ustrój składa się i wola rządzących i zgoda rządzonych. Demokracja istnieje tylko tam, gdzie demokratyzm tkwi w naturach ludzkich.

Nie mówię wcale o tak zwanych aspiracjach, wewnętrznych przekonaniach, o tym, co „mamy w duszy“ Nie przywiązuję do tego najmniejszej wagi. Ideały „w duszy“ piastowane a nie wcielane w życie, nie grają najmniejszej roli w ewolucji dziejowej. Są one nie tylko pustą zabawką, haszyszem odrywającym od rzeczywistości, chloroformem obezwładniającym organizm społeczny, samooszukiwaniem się najgorszego typu hypokrytów, okłamujących świat, zaczynając od samych siebie. — Jeżeli naprawdę mamy coś w d u s z y, musimy to stwierdzić w życiu, w czynach. Tylko czyny mają wartość realną, są monetą, gdy ideały martwe numizmatem. Wynika ztąd, że na zapytanie, czym jest Polska i jak się kwestja Polska przedstawia, szukać należy odpowiedzi w rozwiązaniu pytania, czym są Polacy?

Polska o tyle jest i będzie w niewoli, o ile oni są niewolnikami, jest i będzie rozdzielona, o ile zniknie w nich poczucie jedności i niepodzielności narodu, a trójlojalizm i trójserwilizm sankcjonować będzie rozbiorowe traktaty.

Polska będzie narodem małym i słabym, jeżeli patryjotyzm, świadomość narodowa, sumienie obywatelskie, będzie własnością garstki — potężnym i wielkim, gdy dwadzieścia miljonów ludu poczuje się narodem, jako naród żyć i działać zacznie.

Póki jak dziś ogromna większość narodu, w poczuciu swej bierności i bezsilności, trwać będzie w roli widzów, lecz nie aktorów dziejowego dramatu, zadając sobie we wszelkich warunkach pytanie: „co z nami będzie?“ — nie zaś „co nam czynić należy?“, póty nie będzie ani Polski, ani kwestji polskiej. Pierwsza będzie wyrażeniem geograficznym, druga pozycją w domowych rachunkach Rosji, Prus i Astrji.

Od nas zależy jedną i drugą stworzyć i tchnąć w nią życie. Z naszej woli zrodzona — żyć będzie „póki my żyjemy“.

Dr. JUDYM.

MYŚL DEMOKRATYCZNA W GALICJI.

II.

W czasach całkowitego wszechwładztwa i rozwydrzenia stanczykierji i jezuityzmu nie zabrakło świadomej celów myśli demokratycznej, nie przestali nawoływać na nowe drogi nieliczni, lecz tym czynniejsi politycy demokratyczni. Wyrastały nowe placówki życia, przybywali zwolennicy, nowy światopogląd wolnego człowieka i wolnego narodu zdobywał dusze. Nastał czas, gdy demokracja posiadła dużą siłę moralną i zaczęła mieć wpływ na bieg rzeczy krajowych i na szerokie masy ludności. Była chwila, gdy walka o nowy światopogląd toczyła się pod znakiem blizkiego zwycięstwa demokracji, gdy klerykalizm i konserwatyzm poczuły się zagrożone w anarchistycznem władaniu. Zdawało się, że większość włościaństwa i całe prawie mieszczaństwo przesuną się w stronę postępu i spełnią dobre zadanie wobec przyszłości. Zdawało się, że Polska galicyjska wydobędzie się z okresu pastersko-rolniczego i wejdzie na wyższy stopień kulturalny, zbliży się rozwojowo do narodów zachodniej Europy.

Dzisiaj widać zacofanie na całej linji. Czyż więc zdobycze myśli demokratycznej były tylko złudzeniem? Nie. Jakież są tedy przyczyny nowej i wzmożonej reakcji?

Inteligencja demokratyczna nie umiała się nigdy należycie organizować. Nie miała na to dostatecznych środków materjalnych, zwalczana była z całą bezwzględnością przez rządzącą klikę stańczykowską. Gdy nareszcie przeszkody te w znacznej mierze zwalczyła, gdy potworzyła szereg instytucji i placówek pracy demokratycznej, gdy pobudziła szersze warstwy do życia umysłowego i obywatelskiego, — zjawił się gość niespodziewany i wabiący tajemniczością, stronnictwo narodowo-demokratyczne.

Ideą nie nową, ale jaskrawiej podkreśloną, polityki ściśle narodowej, przemówili wszechpolacy do uczuć zbiorowych. Ponieważ zaś w kwestjach społecznych ogłaszali z początku dość szeroki program, wydawać się mogło, że jako karnie zorganizowani staną się naturalnymi spadkobiercami dotychczasowej demokracji. Nie brakło szlachetnych idealistów, którzy hasła narodowo-demokratyczne wzięli za dobrą monetę. Nic w tym dziwnego, skoro uwieść się dali niektórzy najprzezorniejsi politycy z dawniejszej demokracji. Toteż stronnictwo narodowo-demokratyczne opanowało bez większego wysiłku stworzone już placówki demokratyczne, krzykliwą reklamą zdobyło lub zagłuszyło opinię i poszło w tryumfalnym pochodzie na kraj, ażeby rozwinąć niezadługo tak szaloną orgię demagogji, iż zapanowało ogólne osłupienie i przerażenie. Tryumf był na szczęście nietrwały.

Można już dzisiaj mówić o narodowej demokracji ze stanowiska historycznego. Chciała przelicytować konserwatystów i demokratów, a ponieważ dwóm Bogom służyć się nie da, więc popadła w rozkład i chaos przedstworzenny. Jedyna jej zasługa — przepokostowanie czarno-żółtego urzędnika

na kolor amarantowo biały, maleje wobec faktu, iż biel ta wyszła z jej rąk dość brudną, a amarant mocno spłowiały; po za tym stronnictwo to nie wniosło nic dla sprawy postępu narodowego, ani dla myśli demokratycznej, ale przeciwnie, zdemoralizowało szeroki ogół krzykliwą demagogią, spaczyło instytucje demokratyczne, i w targu jarmarcznym stało się krzewicielem najwstrętniejszego wstecznictwa. Na gruncie galicyjskim — może bez wyraźnej woli — odegrało niemal tę samą rolę co w Wiedniu stronnictwo Luegera — i z tem samem powodzeniem jednodniówki. Nadużywając wielkich haseł, spowodowało ich lekceważenie; chcąc opanować kraj jak najprędzej, stało się podporą najciaśniejszego klerykalizmu, niemal jego organem. Podsycając ambicye karyerowiczów, deprawowało inteligencyę. Rozżegło fanatyzmy rasowe i wyznaniowe do skrajności — i choć nazywało się narodowym i demokratycznym, cofnęło pracę rozwojową bardziej, aniżeli uczynić to mogła dawniejsza anarchia konserwatystów.

Plon niewesoły i — chcemy wierzyć — niezamierzany przez idealistów stronnictwa. Plon szkodliwy, bo mnóstwo wysiłków ludzkich poszło na marne, bo trzeba wiązać na nowo potargane nici myśli i pracy demokratycznej, bo trzeba na nowo i w znoju zdobywać, co już było zdobyte, bo trzeba leczyć rany, naprawiać serca i dusze, uczyć miłości i obowiązku, ażeby zogniskować na nowo ludzi dobrej woli w pracy nad demokratycznym odrodzeniem społeczeństwa, nad przyszłością narodu.

Nadeszła więc dla szerszej myśli i pracy demokratycznej chwila przełomowa. Reakcja wzmogła się na całej linii, a przyczyniło się do tego w ogromnej mierze stronnictwo narodowo-demokratyczne, które teraz niezrozumiałym dla logicznie myślącego człowieka sposobem bawi się dla odmiany w opozycję, w opozycję wobec własnego światopoglądu. Niepoprawna Targowica rozpuściła na nowo szerokie zagony, wdarła się nawet przy pomocy obskurantyzmu w mieszczaństwo wielkomiejskie i powołała je pod broń przeciw własnemu interesowi i powołaniu mieszczaństwa. Moment jest niesłychanie ważny ze względu bodaj na dojrzewającą reformę wyborczą sejmową i gminną — i dlatego politycy i działacze demokratyczni muszą podwoić czujność, wyostrzyć oręż.

Ważność chwili nie kończy się jednak na zdobywaniu reformy wyborczej. To raczej punkt wyjścia, to jedno z haseł, które pozwoli demokracji zjednoczyć rozprószone lub nie dość spójne szeregi, ażeby pójść śmiało naprzód w obronie kultury i dobra narodowego. Trzeba to zrozumieć i wyrzec się ustępliwego oportunizmu i działania z zawiązanymi oczyma. Gra potoczyć się powinna o ideały najszczytniejsze. Ciemności, wstecznictwu, niewoli i śmierci — należy przeciwstawić światło, postęp, wolność i życie! Czas już i na gruncie galicyjskim rozwinąć proporce kultury europejskiej, czas już wprowadzić Polskę galicyjską w rodzinę narodów kulturalnych i pełnoletnich. Czas zerwać z małodusznością, bezmyślnością i przeżytkami rzekomo narodowymi, które w istocie przekleństwem były i grobem narodu.

Polska nie stanowi wyjątku wśród narodów ziemi. Mogli tak myśleć domorośli statyści w czasach najgłębszego upadku Rzeczypospolitej, ale dzisiaj po tylu bólach i doświadczeniach myśleć tak już nie wolno. Bo myśli takie są zgubne! — chociażby wychodziły z głów, stojących na bardzo wysokich nawet stopniach drabiny społecznej. Polska podlega tym samym prawom przyrodzonym, co każdy naród, a deklamowanie o lepszości duszy polskiej jest szkodliwym złudzeniem. Bierzmy więc wzory od narodów szczęśliwszych i uczmy się od nich, jak własny naród szczęśliwym uczynić. Nie zabraknie nam zdolności, jeżeli nie zabraknie również pracowitości, dobrej woli i miłości. Uczyć się zaś od obcych nie jest wstydem. Wstydem jest bezmyślność, zarozumiałość i próżniactwo.

Dzieje pouczają, że ilekroć uczyliśmy się od oświeceńszych, byliśmy lepsi i szczęśliwsi. Oddani samym sobie, zapomnieliśmy w kłótniach i małostkowych intrygach o własnej ojczyźnie. Nawet już w okresie niewoli, zetknięcie się bezpośrednie z kulturą francuską dało Polsce przesławne legiony, a po powstaniu listopadowym olbrzymi rozkwit literatury narodowej.

Na gruncie najbliższym widzieliśmy to samo. Niedopuszczanie prądów europejskich do Galicji kończyło się zastojem, bezradnością, martwotą, ubóstwem i azjatyckim barbarzyństwem; każda zaś nowa fala europejska, która zdołała się do nas przedostać, przynosiła wzmożony ruch myśli, podnosiła godność ludzką, zaznaczała się wzrostem kultury i błogosławieństwem dla dobrobytu narodowego.

Demokracja ma przed sobą wzniosłe zadanie. Niech zorganizuje się należycie, niech czuwa i pracuje. Niech potarga nareszcie zmorę anarchji, która kłamstwem i frazesami przygniata kraj i zatyka mu oddech. Praworządność — to jedna z najważniejszych wytycznych demokracji. Praworządność musi przeniknąć całą administrację krajową i każdą komórkę organizmu zbiorowego, precz musi wytrącić korupcję z życia publicznego. Musimy raz nauczyć się rządzić sobą, bo od tego zależy przyszłość narodu. Rządzić się nie nauczymy, jeżeli nie zrozumiemy praworządności, jeżeli pozwolimy, aby anarchja sterowała nadal życiem publicznem.

Praca demokracji nie łatwa i walka uciążliwa, choć w przyszłości niewątpliwie zwycięzka. Z pomocą przyjdzie jej zastęp obywateli prawych i niezdemoralizowanych. Ich energja duchowa przemoże krecią robotę intrygi, obskurantyzmu, demagogji i świętoszkowatej obłudy, jak światło słońca zwycięża ciemności nocy.

PRAWORZĄDNY NAMIESTNIK.

Pod znakiem obrony ustawy w dziedzinie administracyi państwowej objął dr. Bobrzyński rządy kraju naszego w charakterze cesarskiego namiestnika. — Zapowiedział uroczyście, że chce wprowadzić panowanie prawa w dziedzinie administracji z uchyleniem wszelkich wpływów ubocznych, zwłaszcza politycznych.

Dwa lata rządów namiestnika nie wykazują ani śladu tej praworządności. Jak dawniej, tak i dziś wszyscy mali i wielcy starostowie i różne duchy policyjne wsłuchują się pilnie w życzenia tych, po których stronie jest siła a nie prawo, — i mają jedno jedyne pragnienie, rychłego spełnienia tych życzeń. Wszak tylko ten, kto ma siłę, a nie żaden tak często wieloznaczny paragraf, zapewnić zdoła powodzenie, odznaczenie... karjerę.

Takim pozostał i takim jest przeciętny ogół naszych włodarzy, powołanych do sprawowania władzy administracyjnej.

A sam pan namiestnik? Czy może w jego własnych aktach rządu widać to wyższe poczucie prawa dążące do wykononia władzy administracyjnej wedle litery i d u c h a ustawy? Czy chociaż pan namiestnik sam w sprawowaniu swej wielkiej władzy trzyma się tylko prawa i nie ogląda się na żadne względy partyjne i polityczne, — na życzenia stronnictw w miarę siły politycznej, jaką reprezentują? — Czy pan namiestnik sam posługuje się w swych zarządzeniach na prawie opartą szczerością i prawdą — bez tych wszystkich tak osławionych administracyjnych sztuczek, interpretacyjnych nadużyć, wyszukanych umyślnie niejasności ustawy i rozlicznych formalistycznych forteli, które cechowały przez lat dziesiątki rządy starościńskie w Galicji?

Kto zna choć cokolwiek stosunki, musi stwierdzić, że także sam namiestnik Bobrzyński, w sferze własnego urzędowego działania, — nie różni się pod tym względem od swoich poprzedników, chyba tym tylko, że tamci postponowali względy prawne dla pewnych interesów politycznych, które w myśl pojęć stronnictw rządzących, kładli na równi z interesem kraju, lub też kierowali się względami praktycznego oportunizmu, który im dawał możność skupiania w swych rękach wszystkich nici politycznych, zapewniających decydujący wpływ na polityczne życie w kraju, na wybory, na działalność stronnictw, na stosunki tych stronnictw między sobą, — zaś p. dr. Bobrzyński jest od prawa i ustawy zupełnie tak samo oddalonym, jak jego poprzednicy, ale za to nie ma wpływu na ruch polityczny w kraju, nie ma żadnego wpływu na Koło polskie we Wiedniu, nie ma wpływu na stan i rozwój publicznego życia, ani na jego objawy, a także nie widać śladu jakiegoś skutecznego oportunizmu, któryby naprawdę jakiejbądź dziedzinie interesów publicznych ogólnych lub szczegółowych istotne zapewniał awantaże.

W artykule dziennikarskim nie podobna wykazać tego faktu we wszystkich, ani nawet na kilku dziedzinach administracji publicznej.

Atoli wystarczy wyjąć jedno lub dwa ogniwa z łańcucha całej działalności namiestnika Bobrzyńskiego, — aby uwydatnić i na przykładzie zilustrować prawdziwość powyższej tezy.

Jako przykład niechaj posłuży na razie stosunek namiestnika do gminy m. Lwowa, drugim niech będzie sprawa rozdawnictwa koncesyj szynkarskich. Przykłady te tak są charakterystyczne, że rzucają jasne światło zarówno na praworządność jak i na oportunizm rządów dra Bobrzyńskiego. Oto kilka faktów:

Pierwszy to sprawa założenia m. Kasy Oszczędności i m. Zakładu zastawniczego we Lwowie będąca w toku od lat zwyż 10. Zrazu robił trudności Wydział krajowy w interesie galic. Kasy Oszczędności, gdy jednak kraj przyjął gwarancję za wkładki, lokowane w gal. Kasie Oszczędności, i suma tych wkładek od czasu runu wzrosła z 60 milionów koron na 90 milionów, uznał w końcu Wydział krajowy, że miejska Kasa Oszczędności o maksymalnej sumie wkładek 12 milionów koron nie może w żaden sposób zaszkodzić galicyjskiej Kasie Oszczędności.

Przeciwnie! Stworzenie nowej instytucji, któraby zapobiegła nienaturalnemu wzrastaniu gwarancyjnej odpowiedzialności kraju za wkładki galic. Kasy Oszczędności leży niewątpliwie w interesie funduszu krajowego. Kraj nie ma w tem żadnego absolutnie interesu, by gwarancja krajowa, ustanowiona pierwotnie na 60 czy 70 milionów koron, którą Sejm już dwukrotnie podwyższyć musiał, która dosięgła obecnie 120 milionów koron — rosła jeszcze dalej bez granic Kraj niema z tego żadnego absolutnie pożytku, i nie widać też żadnej racji, dla której galic. Kasa Oszczędności ma sztucznie wzrastać na wyłączny ciężar gwarancji krajowej. Gwarancję przyjął kraj, by zapobiedz grożącej katastrofie. To było słuszne i racjonalne. Ale rozszerzanie tej gwarancji co kilka lat i sztuczne podnoszenie sumy wkładek w galic. Kasie Oszczędności, na odpowiedzialność funduszu krajowego, to nie jest racjonalne ani słuszne.

Z drugiej strony jawny fakt ogromnej, bo w dziesiątki milionów sięgającej sumy wkładek oszczędnościowych lokowanych w licznych filiach obcych banków, które się namnożyły w ostatnich czasach we Lwowie, dowodzi jasno, że jest największym grzechem gospodarczo-politycznym to faworyzowanie lokacji naszych oszczędności w obcych instytucjach z ujmą dla najżywotniejszych interesów stolicy kraju.

W uznaniu tego stanu rzeczy zatwierdził Wydział krajowy po licznych pertraktacjach już przed około 3 laty statut m. Kasy Oszczędności, — poczym stosownie do żądań, postawionych przez śp. namiestnika Potockiego, przystosowano ten statut do różnych zastrzeżeń i wymogów rządu, a śp. hr. Potocki przyrzekł definitywnie, iż przedłoży natychmiast sprawę ministerstwu z wnioskiem na udzielenie gminie koncesji potrzebnej.

W tym czasie zmarł hr. Potocki, a namiestnik Bobrzyński, mimo upływu więcej jak dwóch lat, mimo wielokrotnych urgensów i próśb gminy, — zatrzymał sprawę do tej chwili.

Jakim prawem? Czy praworządny namiestnik ma prawo wstrzymywać latami załatwienie zwyczajnej sprawy koncesyjnej?

Gdzie jest przepis prawny, któryby taką władzę niezałatwiania podań przyznawał namiestnikowi?

A gdyby nawet namiestnik posiadał takie prawo formalne, czy wolno z tego prawa, — takiego rodzaju czynić użytek? Czy to jest prawny użytek przyznanych władzy uprawnień?

A czy to jest oportunistyczne z jakich bądź względów?

Gdyby dr. Bobrzyński znał usposobienie sfer miejskich, sfer mieszczańskich względem jego rządów, — gdyby wiedział, jak te sfery rządy te oceniają i jak się do nich odnoszą, — możeby zrozumiał, skąd pochodzi brak wszelkiego wpływu na stosunki w mieście. — Niedawno oznajmił prezydent Ciuchciński na radzie miejskiej, że poseł dr. Loewenstein podjął się obecnie wyjednać dla gminy koncesję na Kasę Oszczędności?

Co to znaczy?

Czy wpływy dra Loewensteina sięgają dalej, niż wpływ całej stolicy kraju? Czy wpływy te są w ramach ustawy, czy idą poza ramy prawne? — W pierwszym wypadku byłyby zbędne, — w drugim niedopuszczalne.

Faktem jednak jest, że poseł Loewenstein jest figurą polityczną i czynnikiem operującym środkami politycznymi; — będą to więc względy polityczne, które mogą zaważyć na szali i zadecydują tam, gdzie miały decydować względy prawne i gospodarcze.

Czy to objaw praworządności?

Druga sprawa, jaką miała gmina z namiestnikiem, to sprawa tłumienia szkarlatyny. — Tutaj namiestnik znowu wbrew prawu, a z bezwzględnością całkiem nieuzasadnioną, nałożył na gminę cały ciężar wydatków, połączonych ze zwalczaniem epidemji, mimo, iż zwalczanie epidemji wybuchłej należy do rządu i odbywać się ma na koszt państwa.

Podczas gdy we Wiedniu rząd pokrył cały koszt zwalczania ospy, gdy jeszcze nie było ani śladu prawdziwej epidemji, — u nas po wybuchłej zarazie dekretowano gminie cały szereg środków i zmuszono gminę do poniesienia całego wydatku.

Jakim prawem? Czy i to objaw był praworządności?

A jaki interes publiczny przemawiał za tem, by wbrew ustawie lub przez sztuczne wyzyskanie jej niejasności, przerzucać na gminę ciężary finansowe, — które w stosunku do innych miast, w prowincjach zachodnich, ponosi państwo?

Na tłumienie szkarlatyny wydała gmina w jednym roku około 150.000 K a rząd na to wbrew ustawie nie dał ani halerza.

Obecnie stoimy w okresie zapobiegania cholerze i znów się powtarza ta sama historja. We Wiedniu spada cała odpowiedzialność za każdą najmniejszą niedokładność w działaniu anticholerycznym na rząd, — a gmina występuje jedynie w roli poszkodowanej strony, której interesów rząd należycie nie broni; — u nas Namiestnictwo zepchnęło na gminę nie tylko odpowiedzialność, ale co gorsza i koszta całej akcji antiepidemicznej.

Rząd krajowy wbrew prawu salwuje interes finansowy państwa ze szkodą funduszów gminnych.

Trzeci akt praworządności namiestnika Bobrzyńskiego dotyczy sprawy poprowadzenia linii m. koleji elektr. z placu Cłowego na Wysoki Zamek.

Gmina posiada koncesję rządową na tę linię, wymienioną najwyraźniej w dokumencie koncesyjnym.

Wbrew temu, i mimo istotnej potrzeby połączenia całej dzielnicy pierwszej z tą częścią miasta, a w następstwie z dzielnicą III, dr. Bobrzyński sprzeciwił się ułożeniu toru koleji elektr. obok pałacu namiestnikowskiego, — a to sprzeciwienie się p. namiestnika, znowu z jaskrawym naruszeniem wszelkiego prawa, wystarczyło, by komisja obwodowa nie dokonała wcale reambulacji odnośnej trasy, i sprawę wprowadzono w taki rozgardjasz administracyjno-prawny, że lata miną, zanim gmina zdoła uzyskać jakieś prawne załatwienie sprawy.

Był to prosty kruczek administracyjny, który urąga wszelkiej praworządności, — tak samo, jak jej urąga sam fakt, iż własna chęć p. namiestnika, nie oparta o żadne prawo, ani o żadną ustawę, zdołała unicestwić prawa gminy, płynące z dokumentu koncesyjnego. Gmina ponosi stąd olbrzymie straty, gdyż okrążanie wałów gubernatorskich kosztuje kilkadziesiąt tysięcy koron rocznie, bez żadnego pożytku dla kogokolwiek. Prócz tego jednotorowa linja w ulicy Ruskiej, przez którą prowadzonym być musi ruch i na Łyczaków i na Wysoki Zamek, tak jest obecnie obciążoną, że na tym cierpi nie tylko regularność, ale i bezpieczeństwo ruchu. To wszystko dla prostego widzimisię praworządnego namiestnika.

Omówiliśmy poprzednio stosunek naszego „praworządnego namiestnika“ do pierwszej gminy kraju. Pomijamy całe szeregi drobnych, a znamiennych szykan, jak np. że w niektórych sprawach namiestnictwo nie znosi się z gminą w inny sposób, jak w sposób telegraficzny na koszt gminy (gmach namiestnictwa oddalonym jest od ratusza o 2 minuty drogi pieszej), — pomijamy nieżyczliwość w załatwianiu bieżących spraw, — niesłychaną powolność i wielomiesięczne zwłoki w sprawach dla gminy nader żywotnych, — pomijamy, że ani co dla jednego postulatu gminy, namiestnik nie próbował nawet udzielić gminie u rządu centralnego swojego poparcia, — a wskażemy tylko na sprawę obecnie najaktualniejszą. Oto do wszystkich dotąd przytoczonych objawów praworządności, przybył jaskrawy fakt przeniesienia radnego miasta Lwowa prof. dra Michała Janika ze Lwowa do Dębicy.

Ze względów służbowych!?

Czy to prawda, — czy wybieg starościńsko-administracyjny?

Niechaj na to z ręką na sercu odpowiedzą ci, którzy to urządzili. — Głos publiczny, sumienie publiczne — i poczucie prawdy i prawa, tylko jedną na to mają odpowiedź.

Z pomiędzy kilkuset nauczycieli, urzędujących we Lwowie, — koniecznym był w Dębicy tylko Dr. Janik — piastujący mandat radziecki stolicy kraju.

Dzieje się to wbrew woli dyrektora Zakładu, w którym Dr. Janik swój urząd pełni, i *wbrew opinji inspektora krajowego, któremu Dr. Janik bezpośrednio podlega*, — i wbrew życzeniu dyrektora gimnazjum w Dębicy.

Kto więcej jest powołany do ocenienia przymiotów, lub wad urzędnika publicznego, jak ci właśnie przełożeni, którzy bezpośrednio patrzą na urzędowanie profesora. — Jeżeli przełożeni bezpośredni nie widzieli potrzeby przeniesienia Dra Janika — więc jest jasnym, że wpłynęła na to inna opinja, zdanie innych czynników nie-szkolnych.

Czy można pomyśleć, by w ustroju praworządnym, zdanie klubów partyjnych, będące wynikiem walki stronnictw, — mogło mieć większe znaczenie, niż opinja przełożonego dyrektora szkoły i inspektora krajowego?

To są rządy klik, — a nie ustroje praworządne.

Zwierzchnik administracji krajowej, który tego rodzaju rzeczy dopuszcza, nie ma prawa do miana praworządności.

Oto kilka tylko przykładów, wyrwanych z jednego kącika dziedziny administracyjnej.

Ile tych krzywd publicznych i prywatnych kryje się na wielkoprzestrzennych rozłogach całego rządu krajowego?

Sprawa rozdawnictwa koncesyj szynkarskich— to jedno wielkie urągowisko prawu.

Decydowały w ogólnym założeniu i w szczegółach rozwiązania setki rozmaitych względów; — tylko wzgląd jeden nie grał żadnej roli — t. j. wzgląd prawny, — liczenie się z wewnętrzną istotną treścią ustawy przemysłowej.

Podstawową jej zasadą jest ochrona praw przemysłowców pracujących bezpośrednio w jakimś przemyśle przed wszelką inwazją elementów, które w danym przemyśle nie pracowały. — W rękodziele jest dowód nauki i pracy ustawą wprost nakazany; w przemyśle koncesjonowanym wypływa z ducha i tendencji ustawy i uświęcony jest ustaloną praktyką wszystkich bez wyjątku władz przemysłowych. W przemyśle gospodnio-szynkarskim jest niezłomną regułą w całej Austrji — że do koncesji szynkarskiej ma przedewszystkiem prawo dzierżawca lub pomocnik szynkarski — w miarę lat służby w tym zawodzie.

U nas nie uważano szynków za warsztat pracy przemysłowej, lecz za rodzaj ajencji wyborczych i rozstrzygał przy rozdawnictwie koncesyj układ sił politycznych w pierwszej linji. — Na zachodzie, gdzie na wsi panuje p. Stapiński, oddano sieć wyborczą do jego dyspozycji; na wschodzie gdzie dziś rządzą starostowie, obsadzono sieć wyborczą tymi, na których starosta liczyć może.

Grozą przejmujące rzeczy słyszano na wiecu wydziedziczonych szynkarzy w dniu 6 września na ratuszu lwowskim.

Kilkanaście tysięcy rodzin staje od razu bez pracy i bez utrzymania.

Jak długo była propinacja, mnożono szynki z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, bez opamiętania, nie liczono się z żadnymi względami społecznymi... byle handel szedł... Od dnia gdy rząd krajowy ma zamknąć wielką trafikę propinacyjną — staje się z miejsca obrońcą interesów społecznych i na pobojowisku zasłanym tysiącami trupów gospodarczych zaprowadza z miejsca kulturę antialkoholiczną. Wszak żandarmi zrobią w razie potrzeby porządek, a w odniesieniu do tej masy żebraków p. namiestnik może śmiało poręczyć za spokój w kraju.

Praworządność na tym nie ucierpi; wszak nikt się o nią nie upomni. — Żydzi nie cieszą się dziś sympatją. Znaczna ich część przylgnęła do szaleństw utopijno-sjońskich; — co gorsza, zajęła wrogą pozycję przeciw ważnym interesom narodowym — polskim. — Żadne stronnictwo polityczne z tych, co rządzą w Sejmie i w kraju, nie stanie jawnie w ich obronie.

Układ sił politycznych w kraju nie wymaga zupełnie zbytniego liczenia się z nimi. Zwłaszcza na zachodzie...

A to, że w odmętach zaułków żydowskich szerzyć się będzie wzmożona nędza, że zastęp ludzi bezdomnych żyjących z powietrza, powiększy się o tysiące najbiedniejszego proletarjatu, — że na targowisko niechlujstwa, zarazy, charłactwa i zaniku wszelkich sił fizycznych i moralnych rzuconych będzie jeszcze kilkanaście tysięcy dusz — to przecież nie wpłynie w tej chwili na zmianę stosunku stronnictw politycznych w kraju.

Więc wszystko będzie dobrze: fala zewnętrzna płynąć będzie jak dotąd pod gładką górną powłoką i sama zmiecie to co pod nią się kryje, a ma za mało sił do życia.

W tym istota wszelkiej praworządności — by był spokój. — W tym istota wszelkiego konserwatyzmu.

Pan namiestnik celuje nie tylko w praworządności, — ale też w konserwatyzmie.

I niechaj nikt nie powie że wyrzucenie na bruk kilkunastu tysięcy rodzin jest objawem polityki radykalnej...

Pan namiestnik jest *konserwatystą* i potępia wszelki radykalizm...

Tylko my, którzy tego rodzaju aktom rządu oponujemy — jesteśmy radykałami — warchołami..

A. STRUG.

MOGIŁKA.



Parząc się i dmuchajac, pożerali ludzie kartofle ze solą, zapomniawszy o wszystkich przebytych trudach i o tym wiszącym nad nimi i dyszącym z lasu niebezpieczeństwie.

Jędrkowi też dano w czapkę kartofli. — Chłopak jadł, bo był jeszcze naczczo, ale z pogardliwym politowaniem spoglądał na ludzi, chwalących sobie tak mizerne jadło. Żuł te nieomaszczone ziemniaki i wyciągał rękę do soli.

A co wyciągnął rękę, to wysunął trochę postronka z pod wachmistrza Smyczyńskiego, który z tego łakomstwa ukucnął.

Aż za którymś razem przesunął się między ludźmi na czworakach tak szybko, że zanim się kto spostrzegł, wydobył się z koła, stanął na nogach i z postronkiem popędził w las. Tylko się raz mignął między drzewami. Poleciał za nim jaki taki, ale rychło powrócili. Wszyscy zaczęli gadać, co się stało, jak się stało, kto zawinił, co z tego będzie?

— Moje zdanie — zaczął Rykwita — na pułkownika nie ma co czekać, tylko brać nogi za pas, bo ten hycel nam naprowadzi kozaków.

— Milczeć! Ja tu starszy — huknął Smyczyński. Chcesz, stary, po mordzie?

— Ano spróbuj!

— Ano masz!

— Nie bić!

— Nie bić się Rykwita, do nogi sztucer!

— Gdzie pułkownik?

— Na co nam pułkownik? — I ja potrafię krzyknąć „ruszaj".

— Panowie — zaczął pan Chądzyński.

Nagle ucichło wszystko. Gdzieś bardzo zdaleka rozległy się strzały. Stukały gdzieś po lesie pojedyńczo, nieregularnie, jakby nieśmiało. Aż zaczęły raz po razu trajkotać salwy. Jeszcze przez chwilę trwali wszyscy w osłupieniu — i zaczął się gwar, okrzyki, ludzie obuwali się na gwałt, nakładali worki, rozbierali broń z kozłów.

Salwy grzmiały bezustanku.

Nadbiegły obudzone wystrzałami placówki. Oddział sformował się i był gotów do wymarszu. Spiesznie ładowano do worków, do kieszeni pozostałe kartofle. Stary Lińkiewicz, który od czasu zgubienia syna wpadł w manję, zaczął się głośno modlić. Szyler urzędniczek i Gadziński szlachecki syn, rwali się do bitwy, głośno dopominając się, żeby prowadzić na strzały, bo i tak już wszystko jedno. Galicjanin Szymborski, uczeń gimnazjalny, pierwszy zauważył, że to strzela piechota. Na to Wiklarski, pisarz od rejenta zawołał trzykroć, jak nieprzytomny: — Śmierć, śmierć, śmierć! — Pilawiec, dworski furman, zawołał uroczyście, jakby oznajmiając coś nowego, co sam wymyślił: „Raz kozie śmierć". A na to Lińkiewicz: „Wieczne odpoczywanie racz nam dać Panie!" . . . Pan Chądzyński nerwowo wodził dłonią po bagnecie sztucera, a Smyczyński nie słuchając co gadano, patrzył pilnie a niespokojnie w tę stronę lasu, gdzie poszedł pułkownik. Rykwita patrzył na niego ponuro, z podełba, ale milczał.

— Ejże prażą! Rotami walą!

— Nasi to są ludzie. Z naszej partji. Aż tu ich wparto!

— Jeżeli to konny oddział, to choć niektórzy dopadną granicy.

— Akurat konni. Do konnych by tak nie strzelali. Ależ walą!

— Jak pójdą w las, to się w pakują na nas, a za nimi moskale.

— Będzie nas więcej.

— Będzie więcej trupa.

— Razem zawsze lepiej.

— I żyć i umierać . . .

— Przejdziem my granicę, ale do królestwa niebieskiego.

— Mamy po sto dwadzieścia ładunków. To rozumiem!

— Ja tam się nie poddam. Wystrzelam wszystkie naboje.

— A oni będą czekać, aż sto dwadzieścia razy wygarniesz. I oni nie kluskami strzelają.

— A wiesz, że mi się chce spać?

— „Ruszaj" tam siedzi na drzewie i patrzy, Co nam z tego przyjdzie? Zabrałby nas i poprowadził. Najgłupiej tak stać i czekać i nic nie wiedzieć.

Poranne słońce wydobyło się nareszcie z chmur, które wisiały na niebie od nocy.

Wesoło się zrobiło w lesie. Przez przerzedzone z liści gałęzie wpadały do lasu ciepłe promienie. Migotały na słońcu chwiejące się gęsto i bezustanku spadające żółte, bure, czerwone liście bukowe. Cisza była, powietrze stało bez ruchu, w oddali wpadało w las raz po razu niespokojne zgrzytanie salw, jak gdyby ktoś rozdzierał i pruł nad samymi uszami sztywne, oporne, mocno utkane płótno. Między drzewami biegał wystraszony zajączek, i raz po razu przysiadał, zwracając się w stronę wystrzałów. Zrywał się, podlatywał, przysiadał, aż ocknął się tuż przed gromadą groźnych ludzi.

Osłupiał i przysiadł, rozpaczliwie strzepnąwszy słuchami. Porwał się ku niemu któryś z młodzieży i byłby go niechybnie złapał rękami, gdyby nie krzyk znajomy:

— Baczność! Na ramię broń!

Pułkownik stanął przed nimi niespodziewanie, bo ukazał się nie od tej strony w którą poszedł. Za to trzymał garścią za czuprynę Jędrka, który płakał. Przyszedłszy przed front puścił chłopaka dał mu jeszcze stołka kolanem i oddał go w ręce wachmistrza. Wszyscy wbili oczy w naczelnika z pytaniem, z nadzieją, ze strachem, co powie.

— W łąkach za rzeką, mordują naszych! Jest ze sto ludzi. Ogarnęli ich od lasu kozacy a piechota atakuje. Noga z nich nie ujdzie!

— Idźmy na pomoc! — zawołał — wystąpiwszy z szeregu młody Szymborski.

— Milczeć szczeniaku, kiedy cię nikt o radę nie pyta. Dwa bataljony następują, za pół godziny będzie z nimi koniec. Tymczasem my się przemkniemy. Pośpiech! Rozumiesz jeden z drugim? Co siły w nogach! Zrzucać worki, płaszcze, wszystko — tylko pilnować ładunków, jak oka w głowie. Podpasać się, nogi opatrzyć — buty dobrze opatrzyć, bo potym na nikogo nie będzie czekania! Macie na to pięć minut czasu.

— Dalej! Ruszaj!

— Panie pułkowniku! — Czy jest jeszcze jaka nadzieja? — spytał któryś z synów szlacheckich.

— Nadzieja! — Też słowo żołnierskie. Jest i Wiara i Miłość i Święta Zofja z trzema córkami. Nadzieji niema, ale jak będziecie nogi wyciągać a grzać, to się wydostaniem — właśnie dlatego, że jest bitwa.

— Hańba uchodzić z pola bitwy! . . .

Ale Smyczyński ujął „Szymborczaka" pod gardło swoją chłopską garścią i potrząsnąwszy nim kilka razy doprowadził go do opamiętania. Pułkownik spojrzał na chłopca serdecznie. Gdybyż to miał takich jeszcze z dziesięciu, pokazał by on dzisiaj swoim „apszeroucom" jak to wyglądają prawdziwi powstańcy i jak to giną polscy żołnierze . . .

C. d. n.

W. BUNIKIEWICZ.

FRANCISZEK ŻMURKO.

(Ur. 1859 † 1910).

Początkowo uczeń Matejki — dalsze studja odbywał pod kierunkiem znakomitego profesora Wagnera w Monachjum, gdzie za obraz „Kleopatra", zdobył najwyższe akademickie odznaczenie.

Jako laureat wrócił do Krakowa, skąd wkrótce, otrzymawszy za wstawiennictwem Matejki stypendjum, wyjechał do Rzymu.

Próżno wielki mistrz historycznego malarstwa zachęcał młodego ucznia do twórczości w tym kierunku — historyczne obrazy były przeciwieństwem jego twórczych pragnień i stawały się dlań tylko pozorem, pod którym udawało mu się przemycić tu i ówdzie świetne ciało kobiece, pięknie ustrojoną głowę donny lub fałdy kosztownej materji.

Lśniące białe ciało, odwieczna myśl prometejska, która kusiła się wcielić w posąg greckiego marmuru, potem schłostaną została biczem na płótnach prymitywów i wyolbrzymiła się w rozkosz u Holendrów — w świętość romantyków i w grzech Ropsa, te od wieków, wieków pląsające się pytania i odpowiedzi pochłonęły twórczość Żmurki.

Istnieje „pokutująca Magdalena" Gwida Reniego tak uśmiechnięta i tak piękna, jakby nie kajać się jej wypadało za popełnione winy i bić dłonią w piersi toczone z alabastru, lecz zapraszać w ramiona występku, co nie szpeci i nie brudzi, lecz daje uciechy i piękno.

Jest to najbardziej grzeszny obraz włoskiego malarstwa. A zarazem najbardziej charakterystyczny dla przyszłej całej epoki, która z kobiety zrobiła rokokową Markizę, w klasztornym parloirze przyjmującą odwiedziny trefnisiów.

Polskie malarstwo nie zna tego typu, bo słabo poczęte na dworze Poniatowskiego, rychło przenosi się w romantyczne uwielbienie kobiecości i zgoła mu są obce podróże ku „wyspom Cytery" (Watteau) i owi pożeracze cnót białogłowskich z Ch. de Laclos „Les liaisons dangereuses."

Żmurko jest niemal jedynym w Polsce malarzem kobiety.

Kiedyś uczony Dürrer, a za nim wielu teoretyków malarstwa porównywało śmigłą talię dziewczęcą do filaru korynckiego, a Diderot, który zwykł był wszystko ujmować w ścisłe formuły, radzi przedewszystkim malować ludzi dojrzałych, „bo zarówno wiek dziecinny, podobnie jak i starość są niedoskonałe w formie."

Począwszy od pierwszych płócien malowanych w Meisterschuli Wagnera, aż do hymnu p. t. „Laudemus feminam", Żmurko przestrzega owych dawnych prawideł.

Kobieta jego nie jest drżącą werterowską dzieweczką lub mussetowskim niemowlęciem, ale w pełni swoich kształtów i w poczuciu własnej siły panią rodu ludzkiego.

Sfinksem jest, heterą, lalką, patrycjuszką, uśmiechem, kurtyzaną Heljogabala, lub sułtańską haremową dziewką, nadewszystko jednak lśniącym, białym, płonącym ciałem.

To ciało gibkie i powiewne, oczy ciekawie rozwarte, nozdrza węszące zapach subtelnych pachnideł, jest Muzą Żmurki.

Kobieta z salonu i dla salonu, nużąca przy bliższym poznaniu, lecz miła dla bywalca, co lubi szmer flirtu i pogodne zadumy wieczoru. Niema obrazu Żmurki, na którymby nie było kobiety.

Ani pejzaż go nie zajmował, ani portret nie nęcił, ani Matejko wbić mu nie mógł w głowę powagi malarstwa historycznego, kędy jeno spojrzeć po obrazach Żmurki, wszędy uśmiechają się owe zgrabne postacie, jako kolumny korynckie, zdobne, miękkie, radosne.

A miał Żmurko swoje dnie chwały.

Było to po wymalowaniu „Pieśni wieczornej“ i „Gwiazdy betlejemskiej.“

„Pieśń wieczorna“ zdobyła mu Amerykę, „Gwiazda betlejemska“ otwarła Europę, a dowodem tego uznania był złoty medal na wystawie w Nowym Jorku i popularność w Niemczech, Anglji i we Francji.

Do spopularyzowania zaś nazwiska Żmurki przyczyniło się w pierwszej linji wydawnictwo „Moderne Kunst“, które w r. 1898 poświęciło cały zeszyt pracom polskiego malarza.

Współczesnym prądom w sztuce Żmurko pozostał obcy, a mistrz Wagner, który biadał, że w Meisterschuli żadnemu ze swoich uczniów nie zdołał wpoić zrozumienia dzieł renesansu, rad mógł się pochwalić polskim artystą.

Renesans a zwłaszcza szkoła wenecka były mu bliższe, niż odkrywcze myśli impresjonistów.

Prawda malarska Żmurki była prawdą schyłkowego romantyzmu, która chciała być wszędzie miłą i powabną.

Dla niej malował Kaulbach, Feuerbach i Makart, pokrewni Żmurce.

A tony te pod każdą szerokością geograficzną składają melodję pieściwą dla ucha, która w świątyni wielkiej sztuki nie rozśpiewa się w uroczystą symfonję, ale dać może cicheńką złudę nazwaną: pieśnią o ciałach kobiecych.

ADAM SKWARCZYŃSKI.

STANISŁAW WORCELL.

(Z POWODU MONOGRAFJI BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO[1]).

Do niedawna nieznanymi były niemal zupełnie dla ogółu czytającej publiczności naszej nazwiska polityków polskich z doby emigracyjnej, takich jak Heltman, Krępowiecki, Henryk Kamieński, Zenon Świętosławski; działalność polityczna i publicystyczna Adama Mickiewicza kryła się za jego sławą poetycką; Maurycego Mochnackiego znano niemal z nazwiska tylko, bo dzieła jego mało komu były dostępne.

I w ogóle, kiedy się rozważa dzieje kultury polskiej w XIX. wieku, musi się zauważyć, że jej rozwojowa ciągłość urywa się niejako na roku 1863. Hasło pozytywistów „od podstaw“, obok propagandy pracy na polu ekonomicznym, posiadało jeszcze i inne znaczenie; było to lekceważące zrywanie łączności z dotychczasowym dorobkiem myślowym narodu: porzucano te „romantyczne mrzonki“ dla haseł rzekomo realnych, stwarzano ideologję niejako na nowo, od początku.

Rozwój i postęp myślowy narodu polegać musi na krytycznej znajomości dorobku dotychczasowego, a podstawy wszelkiej ideologji, to nietylko realny grunt stosunków społecznych i politycznych, ale także dorobek umysłowy i ideologiczny, jaki aż do danej chwili naród sobie wypracował. Kiedy się buduje ideologję narodu o bogatej historycznej przeszłości, a szuka się dla tej pracy podstaw w dziedzinie pozahistorycznej: czystego myślenia, czy zesłanych „przyrodniczych“ praw, wtedy wpada się w błędne koło i zaczyna się brać za podstawę dorobek myślowy z poza naszej historycznej świadomości i dlatego przyjmuje się go mniej krytycznie.

Takie właśnie zjawisko mamy w dziejach kultury polskiej po r. 1863. Gdy zerwano z romantyzmem i zaczęto szukać nowej ideologji „u podstaw“, zaczęto w rezultacie brać idee artystyczne, literackie, a przedewszystkiem polityczne z zagranicy; tłumaczono je niejako na język polski, przeciwstawiono, czyniono „przesilenia“ i reakcje — i budowano ciągle na nowo, od początku, jakby dorobek przeszłości żadnych podstaw przyszłości nie dawał. Był pozytywizm, potym przyszedł nacjonalizm, jakby z zachodnio-europejskiego nacjonalizmu państwowego, więc zaborczego, przetłumaczony, przyszedł i socjalizm, zrazu niewolniczo naśladowany z zachodu, nieprzystosowany do odmiennych stosunków narodu podbitego i stojącego na niższym stopniu gospodarczego rozwoju — i t. d. A z tym wszystkim zatracał się samowiedny rozwój kulturalny, idący z rzeczywistych stosunków narodowego położenia.

Aż wreszcie znużono się tymi przesileniami, tym ciągłym budowaniem od początku walącego się gmachu — i zrodziła się jakoby tęsknota za kulturą romantyzmu polskiego; zachwyt budziła jej jednolita budowa, a w logice jej rozwoju imponowało organiczne życie. I zaczęło się „odkrywanie“; odkryto „pośmiertnego“ Słowackiego, odkryto Norwida, w szeregu niedawnych publikacji poznano emigracyjnych polityków.

Logika rozwoju myśli, ideologji polskiej w pierwszej połowie XIX. w. wydała się nam, współczesnym, uderzającą: mimo licznych rozbieżności widzimy tam jednolitość kulturalną, która nas, rozbitych dziś w rozbieżnościach, zastanawia i olśniewa.

I znowu stosunek nasz do tego dorobku kultury romantycznej staje się nienormalnym; wytwory ducha romantyków polskich, dorobek pracy myślowej emigracji, znowu zaczyna się niekiedy pojmować niehistorycznie. Widzi się tam jakieś istotne, bytowe, raz na zawsze wrodzone cechy narodu polskiego, przenosi się je na chmurami zakryte wyżyny Monsalwatu, gdzie dzieją się jakieś rzeczy tajemnicze i odwieczne, których początek w tajniach ducha czy „rasy“ spoczywa.

Tymczasem rzecz leży w tym, że przy ocenie i przyswajaniu sobie każdego dorobku kulturalnego

---

[1]) Stanisław Worcell, życiorys. Napisał Dr. B. Limanowski. Spka nakł. „Książka“, Kraków 1910.

zwracać należy uwagę na to, czy i jak wynikał on z realnych stosunków, w których naród się znajdował, jak łączył się z dziedziną zjawisk politycznych i społeczno-gospodarczych, czy i jak rozwiązywał te zagadnienia, które historja w tych dziedzinach nasuwała, jak wreszcie na dalszy bieg historji oddziałał. I jest to nie tylko sprawa prawidłowej metody historycznej, ale także sprawa aktualna. Bo jeśli mówimy o czasach tak niedawnych, to zdajemy sobie przecie z tego sprawę, że zagadnienia, które emigrację polską zajmowały, istnieją i dziś, że warunki narodowego życia, choć w niejednym się zmieniły i zmieniają co dzień, przecież w zasadniczych rysach pozostają do dziś takie same, — jeśli więc poznajemy, jak owe zagadnienia sobie stawiano i jak je rozwiązywano, to nie przypisując tym rozwiązaniom wcale mocy autorytetu, zestawimy je z naszymi dzisiejszymi rozwiązaniami i uzyskamy pole porównawcze, a w niejednym jaśniejszą orjentację: słowem, zyskamy to, co się nazywa samowiedzą historyczną, czyli ciągłością rozwojową myśli narodowej w miarę postępowego biegu dziejów.

Jakież zdobycze we względzie wyżej wymienionym daje nam poznanie działalności jednego z najwybitniejszych polityków emigracyjnych, pierwszego socjalisty polskiego, Stanisława Worcella?

Pochodzenie jego duchowe zawierało w sobie to wszystko, co najszlachetniejszego i najbardziej twórczego posiadała ówczesna Polska. Był wychowankiem szkoły krzemienieckiej, stworzonej przez Czackiego i Kołłątaja, więc ludzi, którzy stali na czele ówczesnej postępowej myśli polskiej, rzec można, myśl tę stwarzali. Pierwsze kroki publicznej działalności stawia w „Towarzystwie Szubrawców", którego działalność posługująca się satyrą dotykała najważniejszych dziedzin życia społecznego, od kwestji włościańskiej począwszy a skończywszy na kulturze obyczajowej; z narodowym ruchem rewolucyjnym spotyka się w lożach masońskich i w rozwiniętym z nich Narodowym Patrjotycznym Towarzystwie, które skupiało w sobie wszystkie postępowe żywioły z całej Polski.

Postać duchowa ówczesnych postępowców polskich bardzo była wybitna i oryginalna. Bez żadnego wątpienia pozostawali oni pod wpływem racjonalistów zachodnio-europejskich z przedrewolucyjnej i rewolucyjnej doby. Satyryczny ton „Szubrawców" mógłby się powołać na pochodzenie od Voltaire'a; loże masońskie, były typowo racjonalistyczną formą działalności publicznej. Ci jednak polscy racjonaliści posiadali wiele cech różniących ich zasadniczo od nauczycieli z zachodu. Znamiennym mianowicie dla racjonalistów europejskich jest brak wszelkiego czucia dla historji. Występując przeciwko zabytkom feudalnych form społecznych, nie uznają w nich oni koniecznego w swoim czasie wyniku dziejów, lecz uważają je poprostu za błędy, które poprawiać należy.

Liberalny, mieszczańsko-demokratyczny ustrój społeczny, który w rewolucji francuskiej w życie wprowadzali, nie był dla nich wynikiem realnych potrzeb, z rozwoju społeczno gospodarczych stosunków wynikającym — lecz był konstrukcją na wiecznych rozumowych podstawach opartą. Inaczej w Polsce. Takie lekceważenie historji było tu niemożliwym, bo w braku państwa dzieje narodowe stawały się podstawą kulturalnej samowiedzy; racjonaliści polscy zatym, przejmując z zachodu tendencje reformatorskie, zachowali jednocześnie poszanowanie i zrozumienie wielkiej wagi dziejów i w rozumowaniu ideologicznym przewyższali niejednokrotnie swych mistrzów przez umiejętność posługiwania się metodą historyczną. I to jest ważna okoliczność dla zrozumienia pracy nad nowożytną ideologią polską.

Historycy z Towarzystwa Przyjaciół Nauk i popularyzujący dzieje narodowe poeci starają się historję zrobić podstawą samowiedzy narodowej, by „śmierć obecną przeszłości wielkiej wskrzeszać życiem" — a jednocześnie republikańskim duchem przejęci legjoniści na ostrzu bagnetów obnoszą wolność po Europie, by ją wreszcie do własnej przynieść ojczyzny i nie tylko naród ale i człowieka w narodzie wyzwolić. I tu tkwi zagadnienie patryjotyzmu polskiego, które przez całe dzieje porozbiorowe — aż do dzisiejszych czasów się ciągnie: jaki ma być stosunek tych dwu ideałów, narodowego i społecznego; który jest celem, a który środkiem tylko; czy reformy społeczne mają tylko na celu zainteresowanie jak najszerszych warstw ludowych sprawą narodowego wyzwolenia, czy też to narodowe wyzwolenie jest jednym z ogniw ogólnego ideału wyzwolenia człowieka, jest tego wyzwolenia społecznego koniecznym warunkiem? Oto teren dla całej gamy poglądów i ideałów polityczno-społecznych, które rozwinęły się tak bujnie na emigracji po 1831 r.

Z TYGODNIA.

JUBILEUSZ BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO. W miesiącu listopadzie roku bieżącego święcić będzie sędziwy historyk pogrobowych dziejów naszego narodu, najstarszy dzisiaj w Polsce działacz socjalistyczny, ob. Bolesław Limanowski, 75-tą rocznicę swoich urodzin; z rocznicą tą zbiegła się inna, pół wieku ofiarnej pracy dla ojczyzny i ludu polskiego. Socjaliści polscy czczą w Limanowskim męża, który żywotem swoim, czynem swoim, swoim piórem, związał obecny ruch emancypacyjny proletarjatu naszego z bohaterskim poematem ruchu demokratycznego doby powstaniowej, który w czasach, gdy jeszcze socjalizm na naszym gruncie przeciwstawiał się Polsce, nowego weń tchnąć usiłował ducha, powiązać sprawę niepodległości ze sprawą wyzwolenia społecznego pracujących. Lecz poza szeregami socjalistycznymi winna sprawiedliwej również doznać oceny ta praca pół-wiekowa, w tym jednym natężona kierunku, aby potęgę idei nowej, a wielkiej, aby nowe siły społeczne, budzące się do życia, uczynić dźwignią dla sprawy wolności, sprawy polskiej. Wszystko co szlachetne, bez względu już na społeczno-polityczną wiarę, czoła uchylić musi przed wielkim, gorącym duchem, który żyje w tym czcigodnym starcu siwowłosym, przed tym żywotem ofiarnym, tułaczym, pełnym znoju, ubóstwa, wyrzeczenia, świętym, jak

żywot jego Worcella. Uczcić musi myśl polska jego wysiłki ku stworzeniu polskiego systemu socjologji; uczcić musi nauka polska jego prace historyczne, poświęcone dziejom naszym najbliższym, najbardziej bolesnym, w czasie, gdy ręka występna karty te wydrzeć usiłowała z ksiąg narodu. Uczcić go musi młodzież, dla której książki Limanowskiego były szkołą obywatelskiej cnoty.

Trzy organizacje, reprezentujące polski socjalizm trzech zaborów, wydały odezwę do socjalistów polskich, z wezwaniem do udziału w uroczystym obchodzie jubileuszowym, który odbędzie się w Krakowie dnia 20. listopada. Pragnęlibyśmy, by ogarnięto tym wezwaniem inne również, blizkie duchem odłamy naszego społeczeństwa, by jubileusz Limanowskiego był świętem całej szczerej i gorącej demokracji polskiej.

NIESŁYCHANE! Prasa codzienna przyniosła wiadomość tak zdumiewającą, iż oczom przy czytaniu wierzyć się nie chciało. Oto policja krakowska wezwała czcigodnego starca, ob. Bolesława Limanowskiego, grożąc mu, że w razie, gdyby odbył się na jego cześć obchód jubileuszowy, on będzie wygnany z Austrji! Nowy ten czyn p. Flataua jest coprawda w porządku rzeczy. Niedawno przecież hr. Potocki, jeden z niewielu namiestników, którzy czuli się zarazem Polakami, pozwolił sędziwemu wygnańcowi powrócić na ziemię ojczystą. Zapragnęła więc biurokracja przypomnieć Limanowskiemu, że losem jego dożywotnim ma być prześladowanie, że jubileusz jego ma być jubileuszem tułactwa. Podobno Wiedeń innego był zdania. Podobno ministrowie obiecali zapobiedz szlachetnym przedsięwzięciom krakowskiego policmajstra, podobno uznali, że Galicja może być miejscem przytułku dla wielkiego patryjoty, zasłużonego pisarza, zacnego człowieka.

Ależ nasuwa się pytanie — czyim urzędnikiem jest p. Flatau? Skąd pensję pobiera? Z austryjackiego skarbu, czy z „kazny“ rosyjskiej?

Podnieść tu należy niezwykle energiczne i solidarne wystąpienie prasy przeciw nowemu kursowi, panującemu w Krakowie. „Wiek nowy„ piętnuje „niesłychany zakaz“, „Słowo Polskie“ uderza na „praktyki policyjne“, czyniąc zarazem wzmiankę o aresztowanych młodzieńcach, „Kurjer lwowski“ zapytuje „gdzie żyjemy?“ — na co odpowiedzią jest poniekąd artykuł „Naprzodu“: „Rosja w Krakowie“!

WALKA O SEJM LUDOWY. W chwili, gdy zeszyt ten oddajemy pod prasę, walka o reformę wyborczą rozpala się coraz silniej w kraju, coraz ostrzejsze przybiera formy. Przemówiła prowincja. W Przemyślu, w Drohobyczu, w Samborze odbyły się tłumne wiece publiczne lewicy radykalnej, imponujące jednomyślnością, łączące wspólnością myśli i pragnienia inteligencję demokratyczną i postępową z robotnikiem socjalistycznym. Przedstawicieli „Związku ludowego“ ze Lwowa, radnych Laskownickiego Lisiewicza, Sliwińskiego, witano z uniesieniem, jako zwiastunów nowej ery w dziejach naszej demokracji. Hucznymi oklaskami przyjmowano oświadczenie inż. Śliwińskiego, że dziś trzeba iść razem z robotnikiem, tym jedynym przez długi czas bojownikiem wolności, że blok demokracji i ludu roboczego leży w najżywotniejszym interesie narodu; z drugiej strony wśród grzmotu oklasków oświadczał poseł Moraczewski, że wspólny bój o reformę wyborczą jest momentem w walce o autonomję kraju, o przeobrażenie go w Piemont polski. A robotnik polski przejmuje się — rzecz nowa i radosna — coraz silniej żądzą otwarcia sejmu dla przedstawicieli ludu; demonstracje przybierają charakter coraz ostrzejszy; odzywają się echa z r. 1905, roku walki o parlament.

Nacisk opinii, rosnące oburzenie w masach, wreszcie bezwstydna buta konserwatystów, którzy, rozzuchwaleni nicością polityczną lewicy sejmowej, cofnęli postawione poprzednio warunki, dodając nowe od siebie żądania, trącące jawnym szyderstwem — wszystko to złożyło się razem, by zmusić wreszcie lewicę sejmową do walki. Zatamowano prace komisji sejmowych, uniemożliwiając działanie budżetowej, jedynie ważnej dla rządców kraju; hałasliwa obstrukcja ruska zawisła groźbą nad plenarnymi posiedzeniami sejmu. Sprawa reformy wyborczej stała się nagłą nawet dla konserwatystów i załatwioną być musi, jeśli nowy akt politycznego tchórzostwa lewicy nie rozbroi. Dziś jest ona panem sytuacji. Ona też zda przed krajem rachunek w razie, gdyby sprawę reformy przewleczono, lub skoszlawiono reformę.

Ważna enuncjacja bar. Bienertha wobec deputacji posłów socjalistycznych zadaje poczęści kłam oświadczeniu, które dr. Bobrzyński złożył na komisji sejmowej: rząd stanowiska swego zgoła nie utożsamia z projektem konserwatystów. Nie wolno już więc usprawiedliwiać własnego niedołęstwa — oporem rządu.

ZA KULISAMI REFORMY WYBORCZEJ DO GMINY. (Ełka). Wzrastająca bez przerwy drożyzna mieszkań i środków spożywczych czyni położenie szerokich mas ludności wielkomiejskiej iście nieznośnym. Toteż nie tylko ze względów zasadniczych, ale także dlatego, aby szerokiemu ogółowi dać zastępstwo interesów, polityka demokratyczna podniosła hasło rozszerzenia praw wyborczych we wszystkich ciałach reprezentacyjnych, które stanowią o interesach materjalnych ludności. Reforma wyborcza. którąby dała miejsce przedstawicielom wydziedziczonych i żyjących z zarobku, stała się prostą koniecznością. Nic też dziwnego, że hasło reformy wyborczej już od długiego czasu jest na porządku dziennym w naszym mieście. Nawet „Koło mieszczańskie“, emanacja lwowskiej „Strzelnicy“, mówiło obłudnie do niedawna, że potrzebę reformy uznaje, że nie chce wprawdzie przewrotów radykalnych, ale godzi się na dziesięć mandatów dla kurji z powszechnego głosowania. Podobne stanowisko zajmowało „centrum“, jednoczące niezdecydowanych demokratów i narodowych demokratów. Przed kilku dniami sam p. prez. Ciuchciński złożył takie oświadczenie na subkomitecie dla reformy i objął referat. Rzecz miała być załatwioną na pełnej komisji w ubiegły poniedziałek, uchwaloną na pełnej radzie w ubiegły czwartek i pójść do sejmu i do sankcji, co znaczy, że najbliższe wybory mogły się odbyć na podstawie noweli do dotychczasowej ustawy wyborczej. „Klub reformy“, stojący przy zasadzie czteroprzymiotnikowego głosowania, zastrzegłszy sobie swoje stanowisko, zgodził się na razie na przyjęcie tego, co ofiaruje samo „Koło mieszczańskie“, nie chcąc utrudniać dojścia do skutku bodaj małej zdobyczy. Sprawa zdawała się być na najlepszej drodze. Członkowie „Klubu reformy“ odwołali wiec obywatelski, zapowiedziany na poniedziałek w Samborze, ażeby stanąć na posiedzeniu komisji. I oto odbywa się komedja. Pan prezydent odwołuje posiedzenie poniedziałkowe, podobno na depeszę prezesa komisji, p. Biechońskiego, który miał bawić w owym czasie w Krakowie. Tak straconą została ostatnia niemal sposobność przeprowadzenia reformy w obecnej kadencji radzieckiej i sejmowej. „Koło mieszczańskie“ i „centrum“ zdemaskowały najzupełniej prawdziwe swoje chęci wobec pierwszorzędnej sprawy, dotyczącej najważniejszych interesów szerokiego ogółu. Należy to przygwoździć i zapamiętać. Ideologja polityków strzelnicowych i stronnictwa „jedynie narodowego“ nie bardzo odbiega od ideologji podolskich wołopasów, którzy w sejmie kurjalnym starają się robić wszystko, ażeby nie dopuścić do unarodowienia najnieszczęśliwszych, do poprawy bytu

materjalnego najuboższych. Oto smutny, przykry nad wyraz, objaw „zachowawczego“ i „gębowego“ patryjotyzmu. Oto mieszczańska polityka „demokratyczna“...

Z POWODU MANIFESTACJI KOBIET GALICYJSKICH, żądających równouprawnienia od jedynego polskiego sejmu, otrzymujemy od p. W. Hozerowej uwagi następujące:

D. 12. b. m. zjawiło się w gmachu sejmowym grono kilkuset kobiet, reprezentujących liczne organizacje, bez różnicy warstwy społecznej, narodowości i wyznania, a łączących się w jednym żądaniu powszechnego, równego, bezpośredniego, tajnego prawa głosowania dla wszystkich obywateli kraju bez różnicy płci. Deputacja przedłożyć miała marszałkowi petycję, będącą mocnym i uroczystym protestem przeciw reakcyjnym zakusom, dążącym do wypaczenia i skoszlawienia sprawy reformy. W imieniu kobiet polskich przemawiała hr. S. Stała się rzecz przykra: przy wymawianiu sakramentalnych czterech przymiotników głos polskiej delegatki przycichł tak dalece, że niedosłyszano ich wcale; za równym prawem wyborczym odezwały się tylko głosy ruskie i żydowskie — nasz polski utonął czy to w niedomaganiu akustycznym, czy też w duszy przemawiającej... Na przyszłość należałoby zwracać w podobnych razach więcej uwagi na to, czy stać jest przedstawicielkę ogółu na wymowę wyraźną i jasną.

Nad uprzejmą odpowiedzią marszałka, tanimi wyrazami uznania i tanimi radami, przejść możemy do porządku dziennego. Widząc jednak te pierwsze nieco energiczniejsze kroki kobiet galicyjskich na polu walki o prawa, zadać sobie musimy pytanie: co wniosą kobiety w życie polityczne i społeczne?

Mętna jest rzeka naszego społecznego życia. Oczyścić ją trzeba prądem świeżym, niezmąconym. Powinien nim być także i ruch kobiecy. Nie wolno mu więc wnosić w pracę społeczną tchórzowstwa, fałszu i kompromisu. W sumienia zaś nasze wsiąknęło wiele trucizny z życia społecznego, chociaż nie brałyśmy dotąd w nim udziału. Pokutuje w nas pańszczyźniana dusza, z jednej strony lekceważąca chamów, z drugiej korząca się przed panami, jakby szafarzami łaski. Czas przecież przestać korzyć się i błagać jak niewolnik, czas żądać, jak człowiek świadomy swych praw.

Klerykalizm przylgnął też do nas z niepospolitą siłą i wyciska piętno na wszelkich objawach życia. A jeśli już wyzwoliłyśmy się same do pewnego stopnia z jego pęt, to jedna z nas na tysiąc ma odwagę otworzyć oczy własnym dzieciom. I tak przygotowujemy armię, która odwraca wszelkie wartości w życiu publicznem. Mówi się pospolicie: „Ach, dzisiaj inaczej nie można działać, bo się nic nie zrobi“. Pamiętajmy jednak, że gdzie kompromis, uległość wobec przemocy, jednym słowem płaszczący się niewolniczy duch otworzy jedne drzwi dla rychłych powodzeń, zamknie ich równocześnie dziesięć dla wielkich celów przyszłości. Te drobne zdobycze, kroczą drogą najdalszą od celu, choć pozornie wydaje się najkrótszą.

Najkrótszą jest zawsze droga prosta. Na takiej drodze wiodącej do wielkich celów nieudałe prace i zamiary nie będą nigdy klęską, lecz tylko doświadczeniem, które mówi: „Ponieważ trudne jest zrealizowanie danej myśli, trzeba wytężyć wszystkie siły do pracy“. Tak czyni zawsze mędrzec dla którego niepowodzenia życia nigdy nie są porażką, lecz bodźcem.

Nie idzie zatym, by gardzić nawet najdrobniejszymi cegiełkami zdobytymi dla budowy społecznej, owszem, jeśli są bez skazy, spełniają swój wielki cel. Chodzi o to, by zamiast dźwięcznej cegły nie brać garści błota, zamiast stylowego budynku nie zadowalać się koszarami. Nic bowiem gorszego, jak tandeta w życiu publicznym. Taniością jej nie zasłaniajmy sobie arcydzieł.

W ukochaniu wielkich celów giną niższe namiętności; zginą również te nasze specjalne wady kobiece, drobnostkowość, które na atomy rozprószyć umie bryłę granitu — ambicyjki osobiste, owo „wypada i nie wypada“ — jako drogowskaz życia. Wierzmy, że jeśli będziemy mieli odwagę otworzyć duszę dla wielkich prawd, zdziwimy się same, że kiedyś żyła ona w nas jak jętka jednodniówka. drżąca koło małego listeczka od narodzin do śmierci. Walkę o prawa złączmy z walką o własną duszę...

Chcę jeszcze zwrócić uwagę na jeden szczegół z posiedzeń kobiecych. Dają się na nich spostrzedz dwie przeciwległe sobie wady. O ile u żywiołów radykalnych okazuje się nieraz bezwzględność wobec osób, o tyle u t. z. umiarkowanych widać tendencję do tak dalece „pokojowego“ załatwienia sprawy, że cierpi na tym przedewszystkim ona sama. Duszno jest w atmosferze, w której najważniejszych rzeczy zlekka się tylko dotyka. A tyle spraw ciśnie się na usta. Głębokie ich roztrząsanie, choćby burzliwe, działa jak orzeźwiająca rosa, a jeśli zróżniczkuje ludzi, rozbije bloki, zmniejszy ilość członków danych stowarzyszeń, związków, będzie to niekiedy pożytkiem raczej, niż szkodą, bo nie chodzi przecież o sztuczny zlepek ludzi ciągnących rydwan spraw równocześnie we wszystkie strony, ale o zwarty, choćby nie wielki, świadomy siebie, rozumiejący się, ufny w swe siły zastęp, postępujący odważnie do jasnego celu!

STAN OBLĘŻENIA NA UNIWERSYTECIE. Od chwili rozpoczęcia wykładów przedstawia uniwersytet lwowski widok osobliwy. U wejścia dwaj woźni sprawdzają legitymacje. Osobom postronnym, nawet byłym słuchaczom, mającym na uniwersytecie sprawy jakieś do załatwienia, odmawia się wstępu, lub przynajmiej poddaje ich się długiej i niemiłej indagacji. Wejście zwykłą drogą, przez główne schody wzbronione. Idzie się tylnymi schodami; wprzód jednak pozbawiają woźni przybysza tak morderczych narzędzi, jak laska, albo... parasol. Przypominają się poprostu ulice Warszawy w pełni stanu wojennego. Brak jeszcze nakazu, by nie chodzić wieczór na uniwersytet — bez latarki.

Wątpimy w celowość tych zarządzeń; jedynie rewizje osobiste mogłyby dać gwarancję, że nie powtórzą się zajścia lipcowe; tak daleko zaś stan wojenny dotąd się nie posunął. I tego wystarczy, by dać obraz rozpaczliwego iście stanu rzeczy, urągającego powadze i dostojeństwu czcigodnej wszechnicy lwowskiej. Stan ten nie może trwać długo. Raz muszą stany wojenne na uniwersytecie stać się niemożliwe i zbędne. A droga do tego jedyna: niezwłoczna kreacja oddzielnego uniwersytetu ruskiego.

WYPUŚCIĆ! Sąd krakowski upiera się więzić prewencyjnie siedmiu z pośród aresztowanych Królewiaków. Na ukończeniu ma już być śledztwo przeciwko tym „zdrajcom stanu“, którzy marzyli o walce za niepodległość ojczyzny, może o walce ramię w ramię z austro-węgierskim żołnierzem... Jednego, przeciw któremu już zastanowiono śledztwo sądowe, więzi na swoją rękę p. Flatau. Prowokowanie to opinji polskiej, niepojęte wręcz z punktu widzenia polityki austryjackiej, wywołuje ze strony ogółu coraz żywsze protesty. Już odbył się w Krakowie burzliwy wiec akademicki; w tej chwili odbywa się on we Lwowie. Prasa niezależna przypomina nieustannie sprawę krakowską mnóstwem artykułów, notatek, historycznych reminiscencji. Szerzy się krótkie wezwanie pod adresem władzy: wypuścić!

ROMAN PLENKIEWICZ. (T. W.). W ubiegłym tygodniu zmarł w Warszawie w podeszłym wieku

Roman Plenkiewicz, pedagog i literat. W dziedzinie wychowania poważne położył zasługi jako współpracownik a z czasem (od tomu V.) redaktor cennego wydawnictwa Encyklopedji wychowawczej. Historja literatury polskiej zapisze go jako autora szeregu monografji literackich, z których na pierwszy plan wybija się olbrzymie dzieło o Janie Kochanowskim, dodane jako tom IV. do pomnikowego wydania dzieł śpiewaka czarnoleskiego. Pracę naukową Plenkiewicza cechowała niezwykła sumienność, posuwająca się aż do drobiazgowości; zmysłu syntetycznego nie miał, zbyt rozpraszał się w szczegółach, stąd też rozprawy jego są jakby encyklopedjami życia kulturalnego epoki, do której przedmiot pracy należał. Monografja o Kochanowskim zaznajomi czytelnika z całością stosunków politycznych, kulturalnych i literackich czasów Zygmunta Augusta i Batorego. Wadę badań Plenkiewicza stanowi tendencja katolicka, coprawda dyskretnie ukrywana; zemściła się ona jednak na badaczu, nie pozwalając mu na właściwe poznanie i odczucie wieku XVI. i między innymi twórczości Kochanowskiego. Za to, gdzie się zdołał od tendencji wyzwolić, stwarzał rzeczy trwalszej wartości. Tak n. p. jego rozprawa o Modrzejewskim w ostatnim tomie Enc. wych. posłużyć może za wzór sumienności i trafności sądu, połączonej ze zwięzłością.

Z Plenkiewiczem zeszedł do grobu jeden z ostatnich tych uczonych warszawskich, którzy przez drugą połowę XIX. stulecia wznieśli naukę literatury polskiej na właściwą wyżynę, ułatwiając pracę następcom, z których niestety tak niewielu idzie w ślady starszej generacji.

ZGON POETY. Niezwykle obfite żniwo zebrała u nas śmierć w ciągu ostatnich dni dziesięciu. Po Konopnickiej, po Żmurce, przyszła kolej na znakomitego, niedocenionego nigdy, za życia już zapomnianego poetę, Felicjana Faleńskiego. Rzecz, poświęconą jego twórczości, zmuszeni byliśmy odłożyć do najbliższego zeszytu „Życia".

Z TEATRU.

»PANNA MALICZEWSKA« — GABRJELI ZAPOLSKIEJ.

(m) Autorka *Moralności Pani Dulskiej* poruszyła nową, bolesną ranę społeczną. Temat sam bardzo dawny. Młoda statystka teatralna cierpi głód i ma ambicję zostania prawdziwą aktorką. Koniec łatwo przewidzieć. Stręczycielką staje się „chrześcijańska wdowa" p. Żelazna, gwałcicielem szanowany (tak bywa) adwokat p. Daum. Społeczeństwo przychodzi z pomocą po upadku. Tak bowiem nakazują statuty cnotliwego Towarzystwa opieki nad kobietami. Z rąk Dauma stacza się nieszczęśliwa w inne „szanowane" ręce, bo taka już jej dola.

Pani Zapolska ma wybitny talent powieściopisarski, który jej przeszkadza zostać równie wybitną pisarką sceniczną. Dlatego — z wyjątkiem „Pani Dulskiej" — sztuki p. Zapolskiej, przeładowane szczegółami, interesujące jako obrazy, niewiele mają zasadniczego pierwiastka dramatycznego, który stanowi akcja. Mimo to godne są oglądania i robią kasę. Ciekawe zaś są zawsze, gdyż autorka ma odwagę mówienia tego — „o czym się nie mówi" w cuchnącym bagienku „cnoty" mieszczańskiej.

Wystawienie było staranne. Wizyta „klaki" studenckiej z mandolinami wypadła bardzo dobrze. P. Jankowska trafiła szczęśliwie w ton roli głównej. Panowie Feldman, Fritsche, Nowacki i inni wywiązali się dobrze z zadania. Wyborną była p. Gostyńska. Pożądanym byłoby szybsze tempo.



MISERICORDIA.

(g) Rozmaite pozycje zajmowała prasa w stosunku do naszego pisma, ale bodaj najzabawniejszą zajęły „Widnokręgi", przybierając pozę mentorską.

Zalecają nam one „porobienie pewnych (n. b. już zrobionych na pierwszych stronicach naszego pisma) zastrzeżeń „i obwieszczają światu radosną nowine, że i one — „Widnokręgi" — obzierające dotąd badawczym okiem horyzonty wszechświata, o ile my i „Kronika powszechna" zajmiemy się sprawami zasadniczymi, — „będą miały sposobność określić swe stanowisko polityczne".

Jak widzicie więc, szanowni współpracownicy nasi, sprawa przedstawia się nader poważnie: jeżeli będziecie się spisywać źle, „Widnokręgi" ulegną kompletnej dezorjentacji politycznej i niepozostanie im nic innego, jak w dalszym ciągu „niezawiśle traktować zjawiska twórczej i samodzielnej myśli polskiej", a jak się to traktowanie przedstawia, świadczy o tym znakomity artykuł jednego z „Widnokręgów" pana l. b. pod tytułem: „Niepodległość narodowa w jej przejawach najnowszych" czyli „z powodu aresztowań w Krakowie."

Podczas kiedy cała opinja oburza się na przesadną gorliwość p. Flataua, kiedy nawet „Słowo polskie" zajmuje w ostatnim nr. zupełnie poprawne stanowisko w tej kwestji, „Widnokręgi kwalifikują całą sprawę jako karany w Austrji „tajny spisek, tajne stowarzyszenie polityczne", „mętne tło, na którym rozwijają się owe ruchawki", świadczące, „że pewne rzeczy już dojrzały... i stają się!..."

Po obrzydliwym tym raporciku, trącącym kancelarją policyjną, pełnym kropek, złośliwych aluzji i tanich drwin na temat „aresztowanych męczenników narodowych“, następuje cały traktat odsłaniający przeraźliwą pustkę moralną i umysłową autora.

„Jakim prawem“ — brzmi patetyczny wykrzyknik „głosi się prawdy dawno znane?“

Głosić prawdy — dawno znane wolno zawsze, choćby dla pouczenia pana I. b., a zapomniane i zapoznane trzeba.

Taką sprawą zapoznaną po 63 roku jest właśnie niepodległość, panie Horyzoncie, owa niepodległość, która nie figuruje ani w programie Stańczyków, ani w programie ugodowców, ani narodowej demokracji, ani w S. D. K. P i L. — słowem w większości stronnictw polskich nie istnieje i dopiero po latach abdykacji odradza się w Filarecji i Przedświcie.

Jeśli podniesienie tego zadeptanego niewolą hasła i zapoczątkowanie po latach zastoju przygotowań do akcji niepodległościowej pan I. b. uważa za „zbyt małą d a n ą“, by z góry patrzeć na dojrzałych pracowników społecznych, jest ono aż nadto wystarczające, by nazwać marnym głupstwem jego niedowarzone wskazania, zakończone godnym całości uwieńczeniem. że ćwiczenia z bronią należy pozostawić czynnikom do tego powołanym t. j. wojsku.

Jakiemu?

Która z armji, zaborczych wydaje się panu I. b. najbardziej powołaną do „podjęcia zadania bezpośredniej przygotowawczej akcji niepodległościowej“, akcji, którą sam uważa „za obowiązek nakładany przez stanowisko niepodległościowe“, choć, niestety, niedojrzałość umysłowa nie pozwala mu wyciągnąć z tej słusznej przesłanki logicznego wniosku?

(t. w.) Dobrze jest niekiedy czytać nekrologi w „Czasie“. A właściwie w „Czasie“ nekrologi przedewszystkim. Wiadomo przecież, jakie to złote pióra kreślą je tam od pół wieku, ile tam mniej lub więcej złotych myśli rozsiano. W nrze z 12. paźdz. przyniósł organ samochwalstwa szlacheckiego ciepły nekrolog, wyjątkowo sprawiedliwie poświęcony pamięci Wł. Jeżewskiego, powstańca i sybiraka, jednego z męczenników roku 1863. To też nie o to idzie. Ale dziwnie za to odsłonił swą duszę nekrologista konserwatywny, gdy żegnał w zmarłym „ś w i a d k a m i n i o n e j s w o b o d y, k i e d y j e s z c z e s ł u ż y ć m o ż n a b y ł o o j c z y ź n i e o f i a r ą k r w i i ż y c i a !“

Oto przypatrzcie się ludzie tragedji „człowieka poczciwego“ z obozu stańczykowskiego, jak wzdycha do czasów, kiedy można było przelewać krew za ojczyznę. On chciałby i dziś, ale dziś już „nie można“. Wyobraźcie sobie, jakie to walki wewnętrzne przechodzi ten człowiek dla tej „minionej swobody“ składania życia na ołtarzu ojczyzny. Dziś publicysta konserwatywny nie ma tej swobody dysponowania swym życiem, dziś musi on się szanować, bo któżby został inny, aby tak godnie i z namaszczeniem potępiać ruch rewolucyjny w zaborze rosyjskiem i rzucać kalumnie na bohaterów, którzy dziś ośmielili się z życia swego czynić ofiarę za wolność i lud!

Dziś przecież ojczyzna od rwących się ku śmierci na polu bitwy konserwatystów, wymaga czego innego: pilnowania wpływów kurji wielkiej własności w sejmie galicyjskim, bojowania o prawa wielkich rolników, strażowania granicy przed obcym bydłem...

„Burakami i pszenicą grób Polski zasypali, na wyścigi się uniżają i liżą“... pisał najlepszy z was jeszcze za czasów tej „minionej swobody“, jeszcze w r. 1836! Zygmunt Krasiński, który chyba nie był postępowcem.

(M.) Jako prezes austryjackiej delegacji wygłosił pan Głąbiński w Burgu mowę tak lojalną, że musiała ona zadziwić nawet dostojnego słuchacza a w zdumienie wprawiła polską opinję. Oczywiście, uwzględniamy w całej pełni i tę okoliczność, że nasz „regimentarz“ nie jest otrzaskany w podobnych przeprawach i że nie miał czasu zdać sobie sprawy z subtelnej różnicy pomiędzy rolą zastępcy naraz parlamentu i narodu polskiego a rolą dworaka. Może — powiemy to na jego dobro — pochwałami na cześć cesarza godził w obu innych cesarzy, pochwałami na cześć armii austryjackiej godził w Rosję. Oprócz jednak tego, co było w mowie p. Głąbińskiego, uderza również i to, czego w niej nie było. Brakło zaś w niej drobnostki, bo wszelkiej aluzji do sprawy polskiej.

Niedarmo wyparła się nasza narodowa demokracja imienia „wszechpolaków“, tak zresztą zdyskredytowanego i niesmacznego. Z ogólno-polskiego stanowiska politycznego pozostał jej — kontusz na prezesowskim grzbiecie. A na legitymację patryjotyczną kontusz pana Głąbińskiego... nazbyt był kusy.

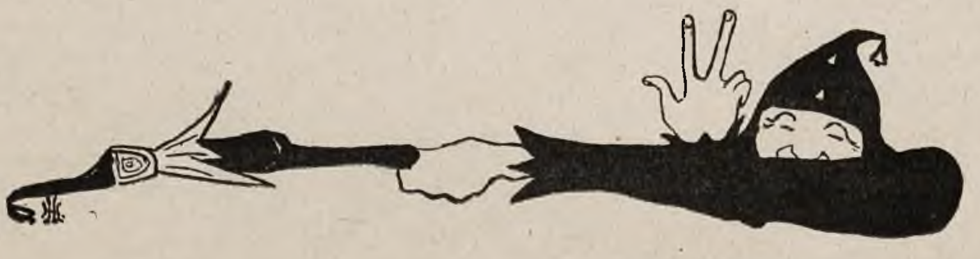
(K) Znana jest w dziejach dyplomacji moc cudotwórcza „faktów dokonanych“. Objawiła się ona świeżo także i w redakcji „Słowa Polskiego“. Zanosi się mianowicie na to, że potencja owa, po znanym, a krótkotrwałym oporze, uzna republikę portugalską...

Przeciw potędze faktu protestuje już tylko romantyk-legitymista, rycerski hrabia Wodzicki. Zganił on w delegacjach wiedeńskich hr. Aehrenthala za przyjazny stosunek do przewrotu, dokonanego w Turcji, ze zgrozą wspomniał o nowym przewrocie w Portugalii. Myślałby kto, że mamy tu do czynienia z intrygami Abdul-Hamida, który snadnie mógł powierzyć jakiejś odprawianej odalisce ważną negocjację z hr. Toniem. A panna Gaby Deslis, premier Don Manuela, rezyduje przecież w teatrze „Apollo.“ Bezpodstawne domysły! Zbędne były odaliski i Miss Gaby. Hr. Wodzicki jest bowiem „prinzipiell konservativ und dynastisch gesinnt“! To wystarcza.

Byli w swoim czasie we Francji t. zw. u l t r a s i, zakuci konserwatyści, którzy wykreślali całkowicie z pamięci własnej i z dziejów ojczyzny najświetniejszy ich okres, ćwierćwiecze rewolucyjne i napoleońskie. Nasz u l t r a s idzie dalej. Dla niego nie istnieje wogóle z całej historji narodu nic, jak tylko owa magnacka tradycja warcholstwa względem społeczności własnej, lokajskiego dworactwa względem obcych dworów.

Przypomina się scena z przed lat stu kilkunastu. Rynek krakowski pełen wojska i ludu... Linowski odczytuje „akt powstania obywatelów mieszkańców...“ Mowa o karach na sprzedawczyków. Tłum burzyć się zaczyna. Słychać wołanie: g i l o t y n y! Lecz stary, mężny generał Wodzicki uspokaja lud. „Obywatele, na co to obce słowo! Wystawimy szubienice i na na nich zdrajców powywieszamy“!

Ach, jakże ten zacny, stary generał Wodzicki mało był „prinzipiell konservativ und dynastisch gesinnt“!



BILANS ROCZNY WSZECHNICY JAGIELLOŃSKIEJ.

Kraków 15. października.

(J) We środę dnia 12. b. m. odbyło się uroczyste otwarcie nowego roku szkolnego, pięćsetnego jedynastego z rzędu, na wszechnicy Jagiellońskiej. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w kościele św. Anny, które celebrował świeżo sprowadzony ks. Zimmermann. Nabożeństwo kościelne, inaugurujące pracę naukową nowożytnej uczelni — to bądźcobądź symbol stosunku naszej wszechnicy do Kościoła rzymsko-katolickiego, stosunku, dającego klerowi i Rzymowi prewalencję w zasadniczych sprawach uniwersytetu, szczątki średniowieczyzny, w której wiedza świecka miała być pokorną „służką teologji“. Wobec poważnych jednak postępów wszechnicy Jagiellońskiej na niejednym polu wiedzy, osiągniętych oczywiście bez udziału, a nawet w walce z opieką kościelną, wobec z roku na rok silnie odmieniającej się fizjognomji duchowej wszechnicy, wolno żywić nadzieję, że owo uroczyste nabożeństwo spada zwolna do roli wyłącznie tradycyjnego ceremoniału, jaką spełniają togi, łańcuchy, berła i pedele.

Na inauguracji w auli zajęli miejsca naczelne tradycyjni, choć osobliwi goście: biskup, komendant korpusu, naczelnik dyrekcji skarbu i starszy prokurator. Znamienny zaiste zespół!

Ustępujący rektor, prof. dr. Łazarski, składał sprawozdanie z dziejów roku ubiegłego. Szczegóły, które wyszły z tak kompetentnego źródła nasuwają sporo gorzkich uwag, tak co do dbałości rządu i Koła polskiego o losy najwyższej uczelni polskiej, jakoteż niejedną wątpliwość co do postępowania grona profesorskiego samejże wszechnicy.

Chluba uniwersytetu, Bibljoteka Jagiellońska, znajduje się w stanie opłakanym. Pragnący w niej pracować nie znajdują pomieszczenia, co gorsza, księgozbiór najwspanialszy w Austryi po wiedeńskiej bibljotece uniw., nie ma się gdzie zmieścić. Starodawne, niezwykle cenne dzieła, leżą w pakach i po stołach nieoprawne, poszarpane, butwiejące; katalog zawartości bibljoteki nieuporządkowany; wspaniały księgozbiór Bernsteina nie może być oddany do użytku publicznego, bo niema go gdzie ulokować. A cóż da się powiedzieć o stanie samego gmachu Bibljoteki Jagiellońskiej, przecudownego zabytku architektury polskiej, wiecznie odrapanego i rozpadającego się!

W nowym gmachu uniwersyteckim *Collegium Novum*, rażący brak sal wykładowych!

Wszystko to zaznaczył rektor w sprawozdaniu, aby bezpośrednio pochlubić się oryginalnym sukcesem, który pochłonie sumy pieniężne, a jest dziwolągiem naukowym. Oto pompatycznie podniósł nominację ks. Zimmermanna, „socjologa chrześcijańskiego“ na katedrę, „której domagał się cały uniwersytet“ (dosłownie!) — Ksiądz Kazimierz Zimmermann jako pierwszy socjolog na katedrze w Polsce, która ma choćby takiego Krzywickiego, to przykra a prowokująca pomyłka — ks. Zimmermann jako pierwszy uniwersytecki socjolog w Austrji, toż to widowisko dla bogów!

Dowiedzieliśmy się przytym, że ta oryginalna nominacja „doszła do skutku dzięki życzliwości p. ministra oświaty (Stürgkh liberał!) i szefa sekcji Ćwiklińskiego“, tego samego Ćwiklińskiego, który na katedrze filologji klasycznej we Lwowie, okazał się wyjątkowo leniwym zerem, a obecnie jako szef sekcji odznacza się aroganckim sknerstwem wobec elementarnych potrzeb uniwersytetów polskich!

W sprawie ks. Zimmermanna dodaję nawiasem, że grono słuchaczów świeckich zamierza uczęszczać na jego „wykłady“, aby kontrolować agitatorską działalność owego dziennikarza w sutannie.

Na wydziale prawniczym U. J. nie zaszła żadna poważniejsza zmiana. Nie przybyła doń ani jedna siła, nadal rządzić tam będzie szczupluchna klika, pilnie dbająca o to, by taksy egzaminacyjne nie były dzielone między większą ilość egzaminatorów. Jak to dziwnymi drogami chadzają postulaty krakowskiej nauki prawa!

Wydział lekarski wywalczył od rządu pewne drobiazgowe ustępstwa materjalne, ale piekąca sprawa budowy kliniki położniczo-ginekologicznej, dermatologicznej i laryngologicznej „nie weszły jeszcze w stadjum właściwe“.

Niebywałą ilość zmian osobistych wykazuje wydział filozoficzny. Ustąpili obydwaj profesorowie filozofji ścisłej, Straszewski i ks. Pawlicki, prof. historji sztuki Marjan Sokołowski, dalej prof. Rostafiński i Schramm. Jeźli się doda dawniejsze ustąpienie prof. Wincent. Zakrzewskiego i hr. St. Tarnowskiego, można wnioskować, że w konserwatywnym sanhedrjonie zasadnicze nastąpiły szczerby. Nowe nabytki uniwersytetu nie wszystkie są szczęśliwe, Nie wielkim cieszy się zaufaniem nowy prof. historji sztuki hr. Mycielski, również trudno wymagać, aby pozbawiony zdolności konstrukcyjnych, a przytym pedagogicznych, aczkolwiek wzorowej pracowitości, prof. Rubczyński, mógł należycie odpowiedzieć wymaganiom katedry historji filozofji. Wiele natomiast różowych nadziei wiąże opinja z osobą nowego profesora literatury polsklej, Ign. Chrzanowskiego, mile też powitała propozycje senatu, przedstawiające prof. Mar. Raciborskiego na katedrę botaniki i prof. Brunera na katedrę chemji farmaceutycznej. Z profesorów nadzwyczajnych budzą zainteresowanie siły zdolne i energiczne, dr. W. Sobieski, prof. historji powszechnej i dr. Kaz. Nitsch, prof. filologji słowiańskiej. Z nowych docentów godni podkreślenia estetyk Michał Sobeski i geograf Ludomir Sawicki.

Zwolna wdzierają się na katedry wszechnicy siły młode, żywe, nowożytne; monopol naukowy wymyka się siłą rzeczy z zacietrzewionych rąk konserwatywnych, kiedy narybku nie staje, a synami, siostrzeńcami i wnukami wiecznie katedr obsadzać nie podobna. W starych murach odczuwa się tchnienie świeższe, swobodniejsze, choć jeszcze główne pozycje nie zdobyte.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce na 2 i 3 str. okładki 20 hal., na 4 zewnętrznej 30 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juliusz Łopatka.